

Nie sposób jednak skutecznie prezentować wartości niezbędne na Mundialu, jeśli od miary tych potrzeb wyraźnie odstaje wyszkolenie techniczne. Odpowiednia sprawność w tej materii ułatwia grę w każdym systemie i zamierzoną realizację zadań taktycznych.

Tłok w polu karnym powodował, że pomocnicy często decydowali się na strzały z dystansu. Tak często, jak podczas tych mistrzostw, nie strzelano jeszcze nigdy.

Spostrzeżenie trafne, ale czy odkrywcze? Taką rolę już podczas mistrzostw świata w Anglii w roku 1966 w reprezentacji Niemiec spełniali: Overath, Haller i Beckenbauer, a w zespole gospodarzy głównie Bobby Charlton. Kilka lat później, na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium, wszystkich przebił nasz środkowy pomocnik Kazimierz Deyna. Sięgnął tam po koronę króla strzelców! Trzeba tu nawiązać do opinii Beenhakera, że *„Polacy grają tak, jak grało się 20 lat temu”*. To krzywdzące stwierdzenie nie tylko dla obecnych reprezentantów, ale również dla naszych piłkarzy „wcześniej urodzonych”. Przecież sporo bramek z dystansu strzelali już, między innymi: Ernest Pohl, Lucjan Brychczy, Zbigniew Boniek i Dariusz Dziekanowski. Jednak, ci „później urodzeni”, co prawda nie wszyscy, mają kłopoty z nawiązaniem do chlubnych tradycji swoich wielkich poprzedników. Stąd te tęsknoty za przeszłością i hymny pochwalne kierowane do dziś lepiej grających reprezentacji.

Podczas Mundialu czołowe zespoły nie broniły się kompletem zawodników. Teraz Francja, Brazylia czy Włochy oszczędzały swoich napastników... Mie-li zbierać siły, żeby eksplodować w jednej, dwóch akcjach.

Tak, to jest niewątpliwie pewna nowość strategiczna, a właściwie kolejny „powrót do korzeni”, to znaczy czasów, kiedy niektórzy napastnicy (łowcy bramek, wybitni snajperzy) byli zwolnieni z zadań obronnych. Powiem więcej, podczas mistrzostw świata w 1970 roku w Meksyku pojawiło się – to też już

wcześniej sygnalizowałem – pojęcie „**uniwersalizmu ograniczonego**”. Adresowano to określenie właśnie głównie do napastników i podkreślano ich absolutne mistrzostwo na jednej, konkretnej pozycji. Klasycznymi reprezentantami owego „uniwersalizmu ograniczonego” byli w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych głównie: Brazylijczycy Garrincha i Jairzinho, Włoch Riva, Niemcy Seeler i Mueller, Czech Scherer, Anglik Hurst, Argentyńczyk Kempes, a u nas choć chciał grać tak, jak Johan Cruyff – przede wszystkim Włodzimierz Lubański i urodzony bombardier Andrzej Szarmach. Właśnie „Diabeł”, nie Lato – bo Grzegorz z Mielca był graczem bardziej wszechstronnym. Strzelił najwięcej bramek na Weltmeisterschaft 1974, był więc wybitnym snajperem, ale już wtedy Jacek Gmoch dopatrywał się u Lato sporo cech typowych dla nowocześnie grającego prawego obrońcy. Na Mundialu 1982 w Hiszpanii Grzegorz uzewnętrzniał swój „pełny uniwersalizm” jako prawy pomocnik. Piłkarz kompletny! Ostatnio blisko tego pojęcia są Maciej Żurawski i Euzebiusz Smolarek.

Mistrzostwo świata zdobyli Włosi. Zasłużenie! W różnych fazach turnieju zachłystywano się grą Argentyny, Brazylii i dość nieoczekiwanie podstarzałej Francji, mającej w swoich szeregach kilku zwycięzców sprzed ośmiu lat, natomiast do gry Włochów podchodzono z dużą rezerwą. Wypominano im „catenaccio”, zbytnią oschłość w grze, skąpą widowiskowość i nadmierne przywiązanie do kontrataku. Tymczasem „azzurri” w ładnym stylu pokonali – moim zdaniem – rewelacyjną Ghanę i po mistrzowsku wypunktowali reprezentację Czech. Włochów od początku, podobnie jak Holendrów, darzyłem największą sympatią. „Oranje” zawiedli, zresztą nie po raz pierwszy, zaś „azzurri” w każdym meczu prezentowali grę inteligentną, dobrą technicznie i elastyczną taktycznie. Wszystko to było wsparte doskonałym przygotowaniem fizycznym i godnymi podziwu cechami wolicjonalnymi. Nerwy mieli ze

stali, nie nadszarpnęła ich wiary w końcowy sukces nawet mocno nagłaśniana przez cały świat piłkarska afera korupcyjna. Konsekwentnie dążyli do celu, w czym szczególnie się wyróżniali: Buffon, Cannavaro, Pirlo i Toni – człowiek do zadań specjalnych.

Mistrzowie świata perfekcyjnie wykonywali również stałe fragmenty gry. Wyraźnie podkreślił to w swoim raporcie dr Stępiński. Zauważył, że ze strzelonych w sumie 12 bramek, Włosi aż 7 zdobyli po rzutach wolnych i różnych. Tu nie mogło być żadnego przypadku, wszystko grało, jak w zegarku. Można i trzeba było, choćby z tego powodu – Włochów polubić. Zaprezentowali walory, którymi wcześniej imponowali na kilku innych Mundialach i już czterokrotnie zagarnęli całą pulę. Zwycięzcy z lat 1934, 1938, 1982 i 2006 w zasadzie w całej swej bogatej historii grali podobnie. Zapewne niegdyś w grze Włochów, zresztą nie tylko ich, było nieco więcej boiskowego artyzmu, ale już od ponad pół wieku w dużo wyższej cenie jest pojęcie „techniki użytkowej”. Spełnia ona służebną rolę wobec przebogatej myśli taktycznej i niemal do granic możliwości rozwiniętych cech motorycznych i wolicjonalnych. Koneser futbolu właśnie w tych wartościach doszukuje się dziś piękna gry.

Złośliwcy przebąkują, że to co teraz pokazują Włosi nadal jest „catenaccio”, no może tylko pod wpływem wymogów czasu nieco zmodyfikowane. A prawda jest taka, że samą „żelazną” obroną nigdy świata nie udało się zawojować. Anglicy ukuli nawet teorię, że „atak jest najlepszą obroną”. Gracze z półwyspu Apenińskiego, fakt to niezaprzeczalny, zawsze kładli duży nacisk na perfekcyjną grę w defensywie, ale też nigdy nie zapominali o ataku. Zatem, obrona tak, ale z myślą o zwycięstwie! To racjonalna alternatywa dla defensywnej sztampy. Gra Włochów, zwłaszcza na niemieckim Mundialu, była wzorcowym przykładem ciągłego przenikania systemów i stylów gry, ale jednocześnie na tej podstawie formą umiejętnego poszukiwania własnej drogi do sukcesów. Mając zakorzenione

gdzieś w podświadomości wartości „dawnej szkoły”, zalety catenaccia i tradycyjnego Libero, jednak respektując przy tym prorocze wizje futbolu naszych czasów, jako zespół uraczyli nas grą na miarę prawdziwych mistrzów świata.

Fenomen Włochów wyróżnia jeszcze jedno, teraz rzadkie zjawisko. Proszę spojrzeć na przynależność klubową podstawowych reprezentantów tego kraju. Nie ma tam graczy z lig zagranicznych, wszyscy wywodzą się z drużyn Serie A. Podczas gdy najlepsi Brazylijczycy i Argentyńczycy, a także Francuzi i Holendrzy, jak jakaś legia cudzoziemska rozsiani są po całym świecie, Włosi – akurat przed Mundialem 2006 – grali, doskonalili swoją już dużą wiedzę techniczno-taktyczną i umiejętnie hartowali organizmy wyłącznie na rodzimym podwórku. Zbliżoną strategię w roku 1978 zastosował Cesar Luis Menotti i też wywalczył z Argentyną mistrzostwo świata. Podobny profil zespołu ukazali również Niemcy. I choć światowych gwiazd teraz u nich niewiele, to jednak bliższy na co dzień kontakt z zawodnikami w rodzimych pieleszach pozwolił im stworzyć dość dobrą drużynę i wywalczyć z nią brązowy medal. Czy nie jest to powód do nieco głębszej zadumy?

Jednak nisko chylę czoło głównie przed Włochami za to, co osiągnęli na niemieckich stadionach. To triumf przywiązania do tradycji narodowej i zdolność do symbiozy z wartościami innych krajów. W latach mojej młodości we Włoszech grało wielu wybitnych piłkarzy ze Szwecji. Kilku z nich zaraz po wojnie, gdy byli w Kamraternie Norkoeping, widziałem w Warszawie na własne oczy. Nordahl strzelił Legii gola z połowy boiska, a Gren wydawał się być reżyserem na miarę Oscara. U nas przeszło to bez echa, natomiast kluby włoskie i tamtejsza federacja właściwie to wykorzystały. Nie tylko więc u kibiców Fiorentiny zachwyty wywoływały przemyślane akcje Grena, Nordhala i Liedholma. Przeszli później do legendy jako „cudowne trio Gre-No-Li”. Włosi połączyli typowo narodowe cechy, odrębność stylu gry, dobrą technikę, szybkość, zadziorność i polot typowy dla południowców z atutami charakterystycznym dla graczy z północy Europy:

inteligencję, chłód i rozwagę w grze, dyscyplinę taktyczną i konsekwencję w realizowaniu celów. A jaki preferują system gry?

System jest taki, jacy są zawodnicy. Zawodnicy zaś są tacy, jakich zdołano wyszkolić i do jakiego stylu gry ich wdrożono. Włoska szkoła futbolu była, jest i będzie wysoko ceniona. Forsują więc Włosi „swoją grę” i grać tak będą niezależnie od tego, czy się taka gra innym podoba czy nie. Mogą korzystać w ataku z usług dwóch, może tylko jednego nominalnego napastnika, natomiast w obronie zatrudniać nawet pięciu piłkarzy. Wszakże pod warunkiem, że to zagwarantuje im sukces. Nie są w tym względzie ortodoksyjni i schematyczni, potrafią być w swoich działaniach elastyczni. To przymioty wielkich drużyn.

Podobną filozofię piłkarską prezentują Francuzi, od wielu lat słusznie podnoszeni do rangi futbolowych intelektualistów. Finał Włochy – Francja w pełni potwierdził te opinie i podobnie jak w roku 2000 finał tych samych drużyn w mistrzostwach Europy, był absolutnie uzasadniony. Takie mecze są pokazem prawdziwej sztuki piłkarskiej, pobudzają wyobraźnię i dostarczają moc sportowych emocji. Zapewne te właśnie wartości sportowe będziemy znacznie dłużej pamiętać, niż zaskakujące i niesmaczne w odbiorze społecznym starcie Francuza Zidane’a z Włochem Materazzim. To też fundamentalna nauka na przyszłość. Żeby dziś być wybitnym piłkarzem, nie wystarczy cudownie kopać piłkę, trzeba również mieć nerwy ze stali i umieć przezwyciężyć towarzyszące grze napięcie, prowokacje i wszelkie pomówienia. „Causus” Materazzi – Zidane dowodzi, że stres atakuje nawet największych mistrzów.

MEDALOWY REDAKTOR

Ostatnio coraz częściej jestem biernym obserwatorem większości piłkarskich wydarzeń. Już nie to zdrowie, już szron na głowie... Upodabnam się więc

co nieco do tych współczesnych znawców futbolu, którzy swą wiedzę o tej pięknej dyscyplinie sportu czerpią głównie z „łóży szyderców”, zwaną niegdyś łożą prasową lub li tylko „z okien superekspresu rangi międzynarodowej”. „Swoje” jednak już w dość długim życiu widziałem, oceniałem i w różnej formie opisywałem. Zaraz po Weltmeisterschaft 2006 obwieścił to publicznie red. Roman Hurkowski, przy okazji podkreślając, że jest jednym z moich wychowanków. Mile mnie tym zaskoczył, bo wiem, że wielu innych niezbyt chętnie się do tego przyznaje. Otóż Roman, były szef tygodnika „Piłka Nożna” teraz na łamach „Tygodnika kibica” przypomniał w telegraficznym skrócie mój udział w mistrzostwach świata w latach 1974 i 1982. Opatrzył to ciepłym tytułikiem „**Medalowy redaktor**”. Niektóre frazy tej rozmowy mają rangę „prawdy historycznej”.

– Najlepsze mecze na mistrzostwach, na których pan był?

– Rok 1974 Polska – Argentyna 3:2 i finał RFN – Holandia 2:1. Rok 1982, półfinał RFN – Francja 3:3 po dogrywce i karne dla RFN.

– Najlepsze w ogóle mecze Polski w mistrzostwach świata?

– Wspomniany z Argentyną, też w 1974 Polska – Włochy 2:1 i RFN – Polska 1:0 na wodzie, jak również wygrane w roku 1982 – 5:1 z Peru i 3:0 z Belgią.

– Które reprezentacje na mistrzostwach świata 1974 i 1982 najbardziej się panu podobały?

– 1974 – Holandia, Polska i RFN, a w 1982 – Francja, Włochy i Anglia z Rayem Wilkinsem na czele.

– Najlepsi z boiskowych rywali Polaków w latach 1974 i 1982?

– W 1974 – Argentyńczyk Ayala, Włosi Zoff, Mazzola i Facchetti, Szwed Edstroem, Jugosłowianin Oblak, Niemcy Maier, Beckenbauer, Breitner, Overath i Mueller oraz Brazylijczycy Marino Chakas i Rivelino. W 1982 – Włosi Rossi, znowu Zoff, Tardelli, Cabrini i Scirea, Belg Ceulemans, Szengelija – reprezentant ZSRR i obok Platiniowego, Francuz Tigana.

– Próba porównania trenerów Kazimierza Górskiego i Antoniego Piechniczka?

– Górski – genialny zarówno selekcjoner, jak i trener, jedyny taki w polskim futbolu. Natomiast Piechniczek – przede wszystkim dobry trener.

– Którzy w ogóle z trenerów w finałach 1974 i 1982 zrobili na panu największe wrażenie?

– 1974 – Helmut Schoen (RFN) i Górski, 1982 – Włoch Enzo Bearzot i Anglik Ron Greenwood, którego miałem przyjemność poznać osobiście.

– Dwa słowa o blamażu reprezentacji Polski teraz.

– Przyczyn szukałbym w innych, niż w latach 1974 i 1982 społeczno-ekonomicznych warunkach funkcjonowania reprezentacji. W związku z tym brakuje możliwości systematycznej pracy z kadrowiczami i co za tym idzie – możliwości szybkiego naprawiania niedostatków.

– Najlepsze w finałach 2006 – mecze, piłkarze, drużyny?

– Mecze: Argentyna – Wybrzeże Kości Słoniowej 2:1, Francja – Brazylia 1:0, Niemcy – Włochy 0:2 po dogrywce. Piłkarze? Najlepsze wrażenie zrobił na mnie Włoch Pirlo, niesamowita była ta cała historia wlotu i upadku Zidane'a, pod względem sportowym zawiódł mnie Ballack. Drużyny – Wybrzeże Kości Słoniowej i po części Ghana, tylko zawodnicy tych drużyn zademonstrowali nowe elementy z zakresu techniki i żałuję, że szybko odpadli. No i rzecz jasna Włochy, na które stawiałem od powitalnego zwycięstwa 2:0 nad Ghaną.

– Najpiękniejsze momenty Jerzego Lechowskiego na mistrzostwach świata?

– W roku 1974 miałem taki sam firmowy garnitur jak nasi zawodnicy i dlatego kojarzono mnie z nimi. Przez to czułem się jakby członkiem ekipy i wielkim przeżyciem było dla mnie odbieranie gratulacji za wspaniałą grę Polaków. W roku 1982 wielkiej satysfakcji dostarczył mi zwycięski 5:1 mecz z Peru, ponieważ wraz z trenerem Bogusławem Hajdasem, asystentem Piech-

niczka, z doktorem Januszem Garlickim oraz zawodnikiem Januszem Kupcewiczem przyczyniliśmy się do tego, że Piechniczek właśnie przed tym meczem dokonał roszad, które ożywiły zespół „biało-czerwonych”, wprowadziły go na właściwe tory.

– Polska „jedenastka marzeń”, uczestników mistrzostw świata 1938-2006?

– Jan Tomaszewski – Władysław Szczepaniak, Jerzy Gorgoń, Władysław Żmuda, Stefan Majewski – Henryk Kasperczak, Kazimierz Deyna, Ernest Wilimowski – Grzegorz Lato, Zbigniew Boniek, Robert Gadocha.

Szczegółowo o roli, jaką wraz z Hajdasem, Garlickim i Kupcewiczem odegrałem w roku 1982 przed meczem z Peru, piszę w III części „Świadka Koronnego” pt. „LATA SUKCESÓW”. Jakże inne są dzisiejsze formy „współpracy” mediów z przedstawicielami „departamentu reprezentacji” PZPN w porównaniu z erą Koncewicza, Forysia, Matyasa, Górskiego, Łazarka, Kuleszy i właśnie Piechniczka. Niegdyś dość łatwo można było odnieść wrażenie, że jedni i drudzy starają się razem ciągnąć ten wóz, dobro drużyny narodowej stawiając ponad swój indywidualny interes. Dziennikarz był dla trenerów cennym i wiarygodnym partnerem. Krytyka miała charakter twórczy, najczęściej życzliwy, nader rzadko niesprawiedliwy. Treści tam zawarte dalekie były od gustu niewybrednego czytelnika i dość często kłóciły się z „linią wydawcy”. Do czasu...

Między prasą, a ludźmi futbolu – z różnych powodów i z różnych stron – zaczęto jednak budować coraz trudniejsze do sforsowania bariery. Jedni starali się działać w ukryciu, zabawiali się w „funkcjonariuszy śledczych”, drudzy szukali „dziury w całym”, źle przyjmowali krytykę, pozwali na „mędrców” tego świata. Brak rzeczowego dialogu rodził podejrzania i sprzyjał fabrykowaniu skandali. Kazimierz Górski, już jako prezes PZPN, któremu też przypięto niejedną łatkę, z wrodzonym sobie dowcipem i trafnością w stawianiu diagnozy, zwykł wówczas mawiać: – *I znowu co najmniej przez kilka tygodni będzie wdzięczne pole do popisu*

*dla łowców sensacji. A jak się to komuś znudzi, rychło znajdzie się inny, równie fra-
pujący temacik...Dobro piłki schodzi wtedy na dalszy plan...*

Powoli słabło napięcie wokół „sprawy Janasa”. Jeszcze tylko od czasu do czasu tu i ówdzie zaglądano mu do kieszeni, usiłowano sprawić wrażenie, że nadal korzysta z „parasola ochronnego” PZPN i prezesa Listkiewicza. Złowieszczco sugerowano, że cieszy się względami „dobrych wujków” i „leśnych dziadków” z centrali. To skandal, wszak to jedna i ta sama banda! Według retoryki Jana Tomaszewskiego to wyłącznie nieudacznicy i niereformowalni PRZESTĘPCY ZRZESZENI PRZECIWKO NAM. Ręka, rękę myje, rzepka, rzepkę skrobie, krzywdy sobie nie zrobią... To już rzeczywiście stawało się nudne i zanadto oklepane, trzeba było coś innego zaserwować opinii publicznej. Zaczęto więc spekulować, kogo teraz „wróg publiczny numer jeden” czyli „Misio” z ulicy Miodowej, wsadzi na saperską posadkę selekcyjona. Suflerów było sporo, absurdalnych pomysłów jeszcze więcej. Wyciągano z lamusa ludzi już dawno przegranych, bądź w trenerskim fachu jeszcze nic nie znaczących. A jeśli jakaś w tym względzie propozycja wyszła z PZPN (A skąd miała wyjść? – Z ław rządowych?), to gardłowano, że „*twardogłowi lansują koleśków*”. Chyba do nich należą, bo od ładnych kilku lat z krajowych trenerów najwyżej cenię Oresta Lenczyka. Decydenci już nie!

Chyba głównie dla świętego spokoju i chęci przypodobania się znacznej części mass mediów pojawiła się więc opcja zagraniczna. Był nawet moment, w którym jeden z dzienników pod niebiosa wyniósł bliżej nieznaną Chorwatą Marijano Vlaka i Słowaka Dusana Uhrina. Raz po raz puszczano... próbne balony. Już nawet witano na tej funkcji Berti Vogsta, dobrego niegdyś prawego obrońcę mistrzostw świata '74, ale nieporadnego na stołku trenerskim. Oczywiście najwyżej niemieckim sztandarem wymachiwał niepoprawny Jan Tomaszewski: – „*To świetny kandydat... Musiałby jednak współpracować z komisarzem* (w do-

myśle z „panem Jankiem” – przyp. J.L.). Nic więc dziwnego, że „twardogłowi”, jak ochrzczono w brukowej prasie polskich szkoleniowców (w tym także mających sukcesy podczas mistrzostw świata) z rozpaczy gotowi byli powyrywać sobie z głowy resztki włosów. Cudze chwalicie, swego nie znacie... Wtedy jednak pojawiło się nie nowe, ale bzdurne hasło „trener z konkursu”. Dopiero tu mogliby poszaleć „Kolesie”. Na szczęście, wyciągnięto, jak królika z kapelusza, nazwisko Leo Beenhakkera.

O, to już zupełnie inna rozmowa, inne komentarze i... nie ukrywane nadzieje. Selekcjoner z najwyższej półki! Wprawdzie „wiekowy” rówieśnik jednego z naszych „medalowych” trenerów, ale nic to – najważniejsze, że zagraniczny, ze słynnej szkoły holenderskiej, przeto musi być dobry, najlepszy. Ale gdy nieco od nich młodszy Włodek Lubański stwierdził publicznie, że *„Holender to dobry selekcjoner...”*, ale... *„reprezentację Polski powinien prowadzić polski trener”*, spór o władzę w naszej kadrze znowu się nasilił. Nawet Zbigniew Boniek miał wątpliwości czy Beenhakker „zbawi nasz futbol”, a poseł z piłkarskim rodowodem Janusz Wójcik był wręcz przekonany, że *„gadanie o holenderskim modelu nie może być lekiem na całe zło”*. I tu wyraźnie wskazał palcem na prezesa PZPN: *„Listkiewicz już się nie wyslizgnie...”*. To prawda, nie chroni go immunitet poselski. Tymczasem „Misio”, wbrew niezaspokojonym apetytom Franciszka Smudy, „urzędowemu” gderaniu Jana Tomaszewskiego („będziemy mieli marsz pogrzebowy”), a także chwilowej obstrukcji Jerzego Engela, spośród dziesięciu kandydatów, których wpisał na prezesowską listę, namaścił właśnie Leo Beenhakkera. Będzie kolejna nagonka? To takie typowo polskie...

Na razie tu i ówdzie złośliwie sugerowano, że nasi krajowi trenerzy modlą się, by Holendrowi się nie powiodło. Wszak jego ewentualny sukces mógłby ukazać dogłębną miałkość polskiej myśli szkoleniowej, której – co za bezczelność! – nie ma. Poczujęm się w tym momencie już nie „świadkiem koronnym”,

lecz obrońcą naszych trenerów. Zaprezentowanie tak „niesłusznej” postawy ułatwiło mi kolejne minięcie się z prawdą nie tylko w bulwarowej prasie. Spora gromadka „okazjonalnych historyków” niefrasobliwie nagłaśniała, że Leo Beenhakker jest pierwszym w dziejach PZPN zagranicznym trenerem reprezentacji. Gdzie czerpali taką wiedzę? No, cóż – *errare humanum est...*

Pomijam już zamierzchłe lata dwudzieste i trzydzieste ubiegłego stulecia, kiedy dopiero rodzącą się naszą narodową drużynę prowadził trener Cracovii, Węgier Imre Pozsonyi, a piętnaście lat później Niemiec Kurt Otto. Poinformuję jednak mniej zorientowanych, że w roku 1952 na Olimpiadzie w Helsinkach typowym nadzorcą szkoleniowym naszej kadry był jeden z kolejnych Węgrów Tibor Kiraly. Wypadł bledziutko, ale wiara w cudowne metody trenerów zagranicznych nie zgasła. W latach 1959 – 1960, aż do niewypału na Igrzyskach w Rzymie, do rangi zbawcy naszej reprezentacji podniesiono Francuza Jeana Prouffa. Pechowiec, też nic nie wskórał, a na domiar złego w Palazzetto dello Sport złamał nogę. Spotęgował tym samym grobowy nastrój w ekipie. Z czasem jednak sięgnięto po rozum do głowy i dano szansę rodakom. I okazało się, że „*Polacy nie gęsi...*”. Dwa medale na mistrzostwach świata i dwa na turniejach olimpijskich (w tym złoty w Monachium) wywalczyli z naszymi piłkarzami polscy trenerzy. Fakty te jednoznacznie obaliły dziś tak bałwochwalczą tezę grupki krajowych „światowców”, że „polski trener nie znaczy lepszy”. To tylko pół prawdy, pozostałą jej część śmiało można uzupełnić stwierdzeniem, że jest niewątpliwie tańszy i z małymi wyjątkami – niedoceniany.

Tak czy inaczej Listkiewicz postawił na Beenhakera. Jakie kierowały nim motywy? Znał aż tak dobrze Holendra czy ugiął się pod naporem mass mediów, by mieć chwilę oddechu? A może uległszy wizjom nocnych snów, uwierzył, że wreszcie „spełni się cud”? Człowiek w zasadzie tylko po pijanemu mówi i robi

to, co po trzeźwemu myśli, „Misio” woli jednak pszczeli miód od winogronowej brandy, przeto tak ważną decyzję podjął bez pomocy środków dopingujących. Ale i tak miał prawo poczuć się nieswojo. Jeszcze bowiem faworyt prezesa na dobre nie wkroczył do akcji, a już mniej obeznani z jego trenerską karierą zaczęli mu „szyć buty”. „Tygodnik Kibica” zachował się w tej kwestii bardziej profesjonalnie. Opierając się na faktach, stwierdził co następuje.

„Jego bilans dokonań w pracy z reprezentacjami jest wprost fatalny, gorszy od tak bardzo krytykowanego Pawła Janasa... Awans do finałów wywalczył on (Beenhakker oczywiście – przyp. J.L.), jak do tej pory – tylko jeden raz, z drużyną Trynidadu i Tobago”...

Rzeczywiście, wcześniej selekcyjna ścieżka Leo nie była usłana różami. Będąc trenerem reprezentacji Holandii, nie dał rady Belgii. Tu ciekawostka! Akurat wtedy, to jest w roku 1985, w grach eliminacyjnych przed Mundialem w Meksyku, nasza reprezentacja zdystansowała właśnie Belgów. Zgodnie z regulaminem oczekiwał ich wtedy mecz barażowy z odwiecznym rywalem. Te swoje derby lokalne Beneluksu Leo przegrał i – to zrozumiałe – dość długo chodził jak struty. Ostro krytykowany ujął się honorem i podał się do dymisji, ale z marzeń o podboju z „pomarańczowymi” piłkarskiego świata – nie zrezygnował. W latach 1990 i 1994, na przekór ostrzeżeń filozofów, znowu wszedł do tej samej rzeki i znowu przeżył rozczarowanie. Można było odnieść wrażenie, że praca z reprezentacją, to dla niego za wysokie progi.

Znacznie lepiej, jeśli nie powiedzieć – wprost wyśmienicie, powiodło się Beenhakkerowi w pracy z czołowymi drużynami klubowymi Holandii i Hiszpanii: Ajaxem Amsterdam, Feyenoordem Rotterdam i Realem Madryt. Tak, dopiero tu był w swoim żywiole, zbierał pochwały, umacniał autorytet i pomnażał kapitał. W Polsce też mieliśmy takich trenerów, którzy w klubach sięgali po mistrzostwo lub Puchar Polski (Koncewicz, Łazarek), natomiast w pra-

cy z reprezentacją los im nie sprzyjał. Niejako na drugim biegunie tego trener-
skiego wahadła plasował się Kazimierz Górski. Wyniki uzyskane w naszych
klubach, nawet w Legii, nie były na miarę Jego talentu. Dopiero reprezentacja
wyniosła Kazia na szczyty chwały i sławy. Którą z tych twarzy Holendra uj-
rzymy w Polsce?

GRA W POKERA

U nas, jak zwykle w podobnych sytuacjach, zdania są podzielone. W sonda-
żu przeprowadzonym przez katowicki „Dziennik Zachodni” aż 80 procent czy-
telników poparło kandydaturę Beenhakkera. Zupełnie inaczej widział to łódzki
„Express Ilustrowany”, sugerując opinii publicznej, że wybór Holendra jest zwy-
kłą „zasłoną dymną” zaciągniętą sprytnie przez Michała Listkiewicza.

*... „Jedno jest pewne. Nazwisko Leo Beenhakkera przynajmniej na jakiś czas
odciągnie uwagę opinii społecznej od związkowych działaczy, a przede wszystkim
prezesa PZPN... W piłkarskiej centrali nikt już nie mówi o konieczności reformo-
wania skostniałych struktur. Jest nowy selekcjoner, to teraz na nim ma się skupić cała
uwaga”.*

Proza futbolowej rzeczywistości przybrała jednak bardziej dialektycz-
ną formę. W gorączkowych dyskusjach na „tak” i „nie” przewijały się oba te
tematy: związkowa bryndza i beennhakkerowskie nadzieje. Zgodności na-
dal nie było, nieliczne umiarkowane głosy nieustannie napotykały na sprze-
ciw zawodowych pyskaczy. Reakcje typowe dla naszej rzeczywistości, nieste-
ty – pozbawione choć by szczypty optymizmu i twórczej syntezy przedłuża-
jących się sporów. Skwapliwie podchwytywali jałowy nastrój tych przepycha-
nek kibice, przekonani, że za wszystko, co nie układa się po ich myśli, trzeba
„jebać PZPN”. Puryści językowi milczeli, widać nie raziło ich tak „jędrne” ar-

tykułowanie niezadowolenia. Do rangi cnoty podnoszono więc lżenie „leśnych dziadków” z ulicy Miodowej.

To psychiczne „targanie po szczękach” ochoczo podsycalo Ministerstwo Sportu i wyraźnie nieprzychylny piłkarstwu jego sternik. W rezultacie nawet gospodynie domowe, zachęczone antyfutbolową postawą resortu, przy zmywaniu garnków wyrażały swoją niechęć do sportu i z lubością wieszaly psy na Listkolandzie. Ulica zaczęła ferować skazujące wyroki. Komisaryczne ciągoty sportowej władzy celnie więc trafiały w gusta niezbyt zorientowanej gawiedzi. Tymczasem selekcyjnerskie karty odkrył Leo Beenhakker. Ten niezbyt chętnie przyjmował rady suflerów i z wrodzoną wstrzeźliwością reagował na gromy radykałów. Zręcznie poradził sobie nawet z antypezetpeenowsko nastawioną Sejmową Komisją Kultury Fizycznej i Sportu oraz politykami ze szczytów administracji państwowej. Był tam jednak milej widziany niż prezes PZPN.

Wszędzie zachowywał się Beenhakker jak wytrawny pokerzysta. Rzadko wchodził do gry w „ciemno”, starał się raczej rozpoznać zamiary partnerów i upewnić się, czy fortuna będzie mu sprzyjać, a posiadane atuty pozwolą wybrać najwłaściwsze rozwiązanie. Kilka razy już przełknął gorzką pigułkę, pretože świadom był, że jeśli znowu powinie mu się noga, rychło podzieli los Janasa. Leo zawodowiec! Bliższa mu była trenerska koszula, niż prominencka sukmana. Wbrew oczekiwaniom „antyjanosików” uścisnął Pawłowi rękę, poklepał przyjaźnie po plecach i na dowód zbratania piłkarskich dusz wypił kufel piwa. Kiedyś już znałem takiego selekcyjnera. Był nim nieodżałowany Kazimierz Górski.

Na towarzyski mecz z Danią, nie siląc się na przedwczesne eksperymenty, Beenhakker powołał skład znany z niepowodzeń na Weltmeisterschaft 2006. Miał teraz przed oczami głównie Euro 2008, ale zachował też w pamięci męki Polaków na niemieckich stadionach. Czy zdoła przywrócić im pewność siebie

i radość z gry? Jest obywatelem świata, wiele widział i słyszał, ale już na starcie przeżył zupełnie nowe doświadczenie – pokrętność polskich realiów. Mógł się poczuć, jak w futbolowym zaścianku. Jeszcze nie wskazał drogi, jaką ma zamiar podążać z naszą reprezentacją do Austrii i Szwajcarii, a już dostał obuchem w łeb. Zarzucono Holendrowi kunktatorstwo, brak odwagi i rozeznania, bo spał skład na towarzyski mecz z Danią. Przegrał, bo – tak tłumaczono – oparł swoje decyzje na przegranym zaciągu Janasa.

Pokrzykiwano więc, że „*Bennhakker powołał kadrę typowo po polsku, czyli bez konkretnego klucza*”, no i że „*reprezentacja Polski, to nie Caritas*”. Prawda miesza się tu z obłudą. Tylko jeden Zbigniew Boniek, no – ale on zna ten ból, bo sam dotkliwie się sparzył selekcyjnym rosołkiem, uznał, że „*jest tu pewna logika*”. Istotnie, Holender kierował się racjami przydatnymi nie tylko „dzisiaj”, ale głównie „jutro”, właśnie w eliminacjach Euro 2008. Zapewne chciał też bliżej poznać przyczyny tak histerycznie rozpamiętywanej absencji w puli finałowej bramkarza Dudka i napastnika Frankowskiego. Czy z nimi w Niemczech było by lepiej? W formie, jaką w Odense zaprezentował zwłaszcza rezerwowy gracz Liverpoolu, w Gelsenkirchen nie byłby zbawieniem dla reprezentacji. Uzdrawianie drużyny narodowej po kolejnym meczu z Danią oraz wzywianie PZPN i Leo do opamiętania było jednak li tylko w miarę wyważonym atakiem na związkową ekipę.

Prawdziwy nalot na „miodowych misiów” i „cudotwórcę z Amsterdamu” nastąpił po falstarcie w eliminacjach mistrzostw Europy. Finlandia, z którą mamy wyjątkowo korzystny bilans spotkań, wygrała drugiego września w Bydgoszczy 3:1. Rzeczywiście, był to żenujący występ Polaków. Nieczęsto się takie zdarzają, siłą rzeczy nader krytyczne komentarze wypadało przyjąć ze zrozumieniem ... „**Zwyczajnie wstyd**”, „**Brak założeń**”, a nawet przasne określenie „**w bramce kardynał Richelieu za skompromitowanego Dudka**”, nie mogły tym razem budzić sprzeciwu. Można się było tylko spalić ze wstydu. Już raz, właśnie w meczu

z Finlandią, równie gorzko to przeżyłem, kiedy to drużyna z Szymkowiakiem, Oślizłą, Pohlem i Liberdą (w eliminacjach mistrzostw świata) przegrała w Helsinkach 0:2. Zapytałem wówczas trenera Koncewicza:

– I kto teraz za trzy tygodnie zagra na Hampden Park ze Szkocją?

Długo nie myślał, szybko odpowiedział:

– Zbyt dużego manewru nie mam, czasu jeszcze mniej... Ale u diabła, przecież Gmoch, Oślizło, Pohl, Szoltyśik i Liberda, potrafią grać dużo lepiej. Traktuję to 0:2 jako zwykły „wypadek przy pracy”. Żał mi tylko Edka Szymkowiaka, jego czas powoli mija... Tak, jak teraz Dariusza Dudka – przyp. J.L.)

– A co z resztą?

– Pozostałych odwiedzę w klubach i mocno zagonię do roboty...

– Da im pan jeszcze jedną szansę?

– Hmm... Czy mam inne wyjście?... Brychczy kontuzjowany, Lubański chory... Lepszych od Pohla, Szoltyśika i Liberdy tak szybko nie znajdę...

„Fajka” ocenił sytuację realnie. Dokonał jednak pięciu zmian w składzie. Edwarda Szymkowiaka zastąpił Konrad Kornek, Romana Bazana Zygmunt Anczok, Ryszarda Grzegorzycyka Antoni Nieroba, Jana Banasia Jerzy Sadek i Romana Lentnera Eugeniusz Faber. Nie była to aż tak wstrząsająca kuracja, ale w pełni udana – w Glasgow tak przemeblowana drużyna wygrała 2:1, a bramki godne „stadionów świata” zdobyli spacerujący w Helsinkach Ernest Pohl i tuz ŁKS-u Jerzy Sadek. Później było jeszcze lepiej. Na mecz rewanżowy z Finlandią w Szczecinie powrócił do gry wtedy 18-letni Włodzimierz Lubański, strzelił cztery bramki, dwie Sadek, jedną Pohl i nasi wygrali 7:0. Odżyła szansa na awans do finałów mistrzostw świata. Dopiero przegrany mecz z Włochami w Rzymie przekreślił wszelkie nadzieje.

Beenhakkerowi po wpadce z Finlandią w Bydgoszczy w kolejnym meczu o punkty z Serbią aż tak dobrze, jak Koncewiczowi w Szkocji nie poszło, ale

wprowadzenie do drużyny Wojciecha Kowalewskiego, Pawła Golańskiego, Radosława Matusiaka oraz Ireneusza Jelenia i tak wyraźnie poprawiło wizerunek zespołu. Czy historia się powtórzy? Remis z Serbami był obiecującą zapowiedzią marszu w górę „biało-czerwonych”. W następnych meczach z Kazachstanem i Portugalią tylko zwycięstwa pozwoliły by na włączenie się do skutecznej rywalizacji o awans do Euro 2008. Sceptyków było sporo, ale Beenhakker tonował pesymizm i napawał wątpiących otuchą. Wierzył w swoją gwiazdę i piłkarskie uzdolnienia Polaków. Potencjał jest, zresztą zawsze był, trzeba tylko umiejętnie do niego dotrzeć i właściwie wykorzystać. On to umiał, przywrócił reprezentantom pogodę ducha i radość z gry.

Nie ustawał w poszukiwaniu coraz lepszych kandydatów do drużyny, umiał też pokrzepiać na duchu kibiców i umacniać w nich nadzieję na kolejne zwycięstwa. „*Zobaczycie inną drużynę*” – zapewniał. Słowa dotrzymał. Wypatrzył Grzegorza Bronowickiego, postawił na nogi Euzebiusza Smolarka i Jakuba Błaszczykowskiego, znalazł też właściwe miejsce w drużynie dla Arkadiusza Radomskiego i Mariusza Lewandowskiego. Z wnętrza ich osobowości zdołał wydobyć to wszystko, co najlepsze: piłkarską wiedzę i siłę charakteru, pewność siebie. Na tym właśnie polega wielkość wybitnego selekcyjnera. Nie stawia zadań ponad możliwości, ale też żąda, by zawodnicy w pełni wykorzystali posiadane atuty.

Leo swoją postawą i stałą progresją w pracy z kadrą utarł nosa ludziom zatrudnionym w najbardziej nieprzychylnych mu dziennikach. Ich strategicznym celem od dawna jest utracenie Listkiewicza i ubabranie w błocie całego PZPN. Teraz, gdy reprezentację poparzyły „pokrzywy nad Brdą”, falą niewybrednej krytyki zalano również ich sportowego opiekuna. Podkpiwano też z niektórych graczy. Sugerowano na przykład, że Lewandowski z Szachtara Donieck „wyglądem bardziej przypomina gotowego na wszystko płatnego zabójcę, niż reprezentan-

ta Polski”... „Od kadry lepiej trzymać go z daleka”... Innych też obrażano. To się w głowie nie mieści!

Niestety, jak jakaś przeklęta zaraza namnożyło się teraz mrowie wulgarnych „znawców futbolu”, bezczelnie przy tym pozujących na rzeczowych i „kulturalnych” uzdrowicieli naszej reprezentacji. Beenhakker na szczęście pozostał głuchy na te obrzydliwości i obok Bronowickiego właśnie Lewandowskiego wyforował na jedną z głównych postaci zwycięskiego meczu z Portugalią. Jakże odległe są czasy, kiedy pojęcie „dziennikarz sportowy” znaczyło dużo więcej, niż rozpowszechniany w minionej epoce epitet „dyspozycyjny pismak z reżimowego szmatławca”. Język w prasie sportowej był bardziej ludzki, teraz coraz wyraźniej staje się trywialny. Źródeł i wzorów takiego wyrażania myśli zbyt daleko szukać nie trzeba, na dobre zadomowiło się w naszym parlamencie. Tam chamskie słownictwo góruje nawet nad wulgaryzmatami „czwartej władzy”.

W sporcie w ogóle, a w piłce nożnej szczególnie, istotną rolę obok wielu innych, odgrywają dwie wartości, które – niestety, nie zawsze idą z sobą w parze, mianowicie forma sportowa i zaufanie. Niegdyś, głównie w czasach legendarnego Kazimierza Górskiego szczególnie dużą wagę przykładano do zaufania. Tu klauzulą najwyższego uprzywilejowania cieszyli się zwłaszcza zawodnicy tak wybitni, jak na przykład Deyna, Lubański i Tomaszewski. Rozumowanie Trenera Stulecia było proste, dalekie od jakichkolwiek podtekstów. Wybitnemu zawodnikowi, a tacy z reguły są pupilami selekcjonera, łatwiej przywrócić reprezentacyjną formę, niż od słabiej wyszkolonego będącego nawet w dobrej formie oczekiwać cudów. „Średniaka” rzadko obdarza się funkcją lidera drużyny i raczej nie oczekuje się od niego odkrywczych rozwiązań taktycznych. Takich graczy Włodek Lubański zwykł określać niezbyt ozdobnym epitetem „ludzie do biegania”. Oczywiście, najlepiej być wybitnym i jednocześnie w do-

brej formie, ale w naszej reprezentacji aż tak dobrze rzadko bywało. Zwłaszcza ostatnio „wybitnych” graczy mamy niewielu, przeważają właśnie średniacy, ubolewać przy tym należy, że i oni nie zawsze są w dobrej formie. W tej sytuacji na tych „wybitnych” zwykło się dmuchać i chuchać, a tym mniej utalentowanym powierzać prostsze zadania. Oba te pomysły zdają się być nasycone realizmem, ale czasami trudne do wykonania, w każdym razie Janasowi w Niemczech się to nie udało. Beenhakker odważnie podjął jedno i drugie wyzwanie. Nie zrażony mundialowym niewypałem początkowo nadal stawiał na praktycznie wszystkich wybrańców swojego poprzednika – Dudka, Żurawskiego, Frankowskiego, Szymkowiaka, Gancarczyka – ale gdy poznał ich faktyczne możliwości, z niektórych zrezygnował.

Życie, także sportowe, nie znosi jednak próżni, przeto w powstałą lukę odważnie wprowadził Kowalewskiego, Golańskiego, Błaszczkowskiego, Bronowickiego, Matusiaka i Gargułę. Duma mnie rozpierała, bo niemal wszyscy grali wtedy w krajowej lidze. Popieram ten trend. Początkowo szło topornie, bo nawet w wygranym meczu wyjazdowym z Kazachstanem, żaden z tych selekcyjnych pomysłów Holendra nie mógł w pełni zadowolić. Piłkarze jednak, zaurzeczni fachowością i otwartością selekcionera, zgodnie twierdzili, że wszystko idzie w dobrym kierunku i już wkrótce będą oczekiwane owoce.

Po przeciętnym meczu z Kazachstanem trudno było przypuszczać, że te „oczekiwane owoce” dojrzeją tak szybko. Z rezerwą przyjęto obiecujące deklaracje zawodników nawet w dzienniku „Rzeczpospolita”, w którym zwłaszcza red. Stefan Szczepłek rzetelnie i z dużym znawstwem opisuje naszą obecną sytuację w reprezentacyjnym futbolu. To trzeba cenić. Jednak i tam zdarzają się mniej wyważone opinie. Natrafiłem w tym piśmie – moim zdaniem – na wyraźnie przedwcześnie postawione rozpoznanie: ... *„Do tej pory narzekaliśmy na piłkarzy. Wydaje się, że doszedł problem trenera i całego sztabu szkoleniowego”*. Razić musi takie

domniemanie. „Rzeczpospolita” jest dziennikiem czytany w ławach poselskich i w fotelach rządowych. Passus dotyczący reprezentacji, a pośrednio całego PZPN-u, zapewne z największym zadowoleniem przyjęto w Ministerstwie Sportu. No, wreszcie ich mamy! Oliwy do ognia dodał „Fakt”: „**Beenhakker ucieka z Polski**”. Nawet zazwyczaj rzeczowy Jacek Korczak Mleczko z „Trybuny” tym razem mocno przeholował: *„Takiego cyrku (i złej atmosfery) wokół reprezentacji Polski nie było chyba nigdy i chyba nigdy nie była ona tak słaba, a sztab szkoleniowy tak dziwny”*.

Ja widzę to nieco inaczej, bo w swoim życiu doświadczyłem już wiele rzeczy dziwniejszych. Na przykład po wygranej ze Szkocją 3:2 na Hampden Park przeżyłem klęskę z „ruskimi” na Łużnikach 1:7, a także zaraz po przegranej z Finlandią z Helsinkach 0:2, dwa kolejne zwycięstwa w eliminacjach mistrzostw świata 1966 – jeszcze raz nad Szkocją 2:1 i wielce udany rewanż z Finami w Szczecinie 7:0. Mógłbym jednak za „dziwne” uznać iście bałwochwalcze przywiązanie Jacka do Jerzego Engela. Raz tęskni za jego powrotem na „minę” selekcjonera, kiedy indziej wpycha go na fotel prezesa PZPN. Czy to ma być nowa jakość w naszym futbolu? A tak na marginesie: nie przepadam za ludźmi, którzy z rozkoszą powielają opinię, że „pieniądz nie śmierdzi”. Dlatego tak mocno również w tym względzie, przypadło mu wyznanie Leo Beenhakera w „Gazecie Wyborczej”.

WYZNANIE BEENHAKKERA

... „Jeśli futbol nie jest dla kogoś pasją, tylko sposobem zarabiania pieniędzy, niech się zajmie czym innym. A przynajmniej niech nie pracuje ze mną. Ja chcę mieć do czynienia tylko z profesjonalistami... Zresztą, nigdy nie żądam od piłkarzy gwarancji dobrej gry. Mówię im: – Zróbcie, co jesteście w stanie. Macie prawo popełniać błędy, ale grajcie z pasją i wiarą w siebie. To uczciwe”.